

Katolicyzm – fenomen wiary, czy postawa?

Autor tekstu: **Anna Salman**

To będzie stary temat w nowym ujęciu, ponieważ należę do owej znikomej części polskiej populacji wychowanej poza jakąkolwiek wspólnotą wyznaniową. Nie było więc w mojej biografii przełomowego momentu „odrzućcia wiary w boga”, gdyż nigdy nie zaszczepiono mi przekonania o istnieniu tegoż. Z czasem okazało się, że owa — wrodzona jakoby — potrzeba wiary nie jest mi potrzebna, nawet w obliczu tragicznych zdarzeń, na które wpływu nie miałam, więc tym większa była rozpacz i poczucie bezsilności. Gdybym jednak uważała, że moim życiem kieruje jakaś inteligentna, nadprzyrodzona siła, właśnie takie sytuacje zaczęłyby budzić moje wątpliwości i głęboki sprzeciw — powodowanie czyjś cierpienia nigdy nie jest zasadne i usprawiedliwić go nie można. Świadczą o tym również wypowiedzi takich osób, jak Marek Edelman, które zetknęły się z ogromem ludzkiego cierpienia, a same ledwo uszły z życiem. Dlatego serwowany powszechnie dogmat o „wrodzonej potrzebie wiary” (w boga) jest dla mnie tyleż abstrakcyjny, co absurdalny.

Tymczasem owa „prawda objawiona” serwowana jest coraz częściej, co powoduje że deklarowanie ateizmu postrzega się wręcz jako zaburzenie psychiczne. Z kolei sprzeciw wobec nieuprawnionych przywilejów organizacji religijnych (zwłaszcza jednej), działań z naruszeniem prawa oraz wobec stanowienia prawa szykanującego inaczej myślących, określany jest, jako **atak na wiarę i ludzi wierzących**. Wynika z tego, że osoby deklarujące przynależność do jakiejś grupy wyznaniowej automatycznie klasyfikuje się, jako wierzące, nawet częściej, niż religijne.

W takim razie zastanówmy się — **czym jest wiara?** — przyjmowaniem pewnych twierdzeń bez dowodu. Według tej definicji ja również wykazałam się nią niejednokrotnie, chociażby wobec członków rodziny, przekazujących mi własną wiedzę o życiu, czy nauczycieli w szkole. Wierzyłam również w szczerą intencję osób z mojego otoczenia i, niezależnie jakie były konsekwencje tej postawy, w większości przypadków nadal tak postępuję. Uważam wręcz, że nadmierny, a przede wszystkim nieuzasadniony sceptycyzm w relacjach społecznych jest niekorzystny — wzajemne zaufanie jest podstawą kapitału społecznego. Tam, gdzie ludzie sobie ufają, żyją szczęśliwiej, a gospodarka lepiej się rozwija.

Nie mogę jednak dociec, jakie **korzyści społeczne** daje wiara w istnienie bliżej nieokreślonego bytu, sterującego ludzkim życiem, w dodatku w sposób nieprzewidywalny i często sprzeczny z ludzką intuicją? Bo **korzyści jednostkowe** podobno jakieś są — poczucie spokoju, bezpieczeństwa, nadzieja na spotkanie z bliskimi w innym życiu. To jednak mogą być zagadnienia interesujące dla psychologów i psychiatrów, gdy tymczasem argumentem o **społecznej** przydatności wiary posługują się badacze społeczni, legitymizując tytułami naukowymi twierdzenie, na które nie ma żadnych dowodów. Stąd już tylko krok do kolejnego twierdzenia, wysuwanego przez członków kościołów / wspólnot wyznaniowych, że osoby wierzące są bardziej wartościowymi obywatelami, ponieważ reprezentują jakoby wyższe standardy etyczne. Z moich (i nie tylko) obserwacji wynika jednak coś tak dalece przeciwnego, że musiałam podjąć się bodaj krótkiej analizy zagadnienia.

Zacznijmy od prostego testu — **jaką wartość poznawczą dla osoby postronnej ma stwierdzenie, że ktoś jest wierzący?** Być może ten, kto deklaruje wiarę uznaje to za jakiś szczególny rodzaj auto-definicji, ale z jego własnego przekonania jeszcze nic nie wynika. Przyjmuję do wiadomości, że osoba „wierząca” wierzy w boga (a nie w teorię kwarków na przykład), bo takie rozumienie weszło już do potocznego słownika. Jednak ... o czym to ma świadczyć? Że się lepiej czuje? Jeżeli ktoś twierdzi, że jest wielbiciele malarstwa abstrakcyjnego, to ta informacja jest do pewnego stopnia weryfikowalna, chociażby na podstawie częstości bywania w muzeach i galeriach, czy ogólnej znajomości tematu. Jednak i wtedy może się okazać, że jest to raczej snobizm, niż rzeczywiste upodobanie. Tym bardziej wątpliwe jest wnioskowanie na temat danej osoby z samej deklaracji wiary. **Wiara** ma bowiem to do siebie, że **jest nieweryfikowalna**. Pewną **wiedzę** na temat rozmówcy mogę uzyskać dopiero znając jego wyznanie (np. wiem, że żydzi i muzułmanie nie jadają wieprzowiny), a jeszcze większą — przynależność do kościoła czy wspólnoty wyznaniowej. Celowo piszę o wyznaniu, a nie bogu, bo przecież mamy różnorodność wyznań zorientowanych na tego samego boga, większość wyznawców nie wie, jak on się nazywa, a zaledwie garstka wie, że się w ogóle nie nazywa — o ile dobrze zrozumiałam ten fragment PŚ („jestem, który jestem” nie brzmi jak imię, już raczej jak tytuł programu rozrywkowego). Tymczasem w Polsce przyjęło się stawiać znak równości pomiędzy osobami wierzącymi, a ich przynależnością do kościoła

rzymskokatolickiego. Jest to statystycznie logiczne - ostatecznie 9 na 10 obywateli naszego kraju tak się deklaruje, jednak wbrew pozorom nie jesteśmy aż takim „monolitem wyznaniowym”, a te proporcje stopniowo ulegają zachwianiu. Spotykałam już w życiu muzułmanów, prawosławnych i protestantów, w których deklarację wiary byłam skłonna uwierzyć. Najwięcej wątpliwości mam w stosunku do katolików.

Tu spieszę wyjaśnić, że każdorazowo w tym tekście określenie „katolicy” będzie dotyczyło członków kościoła rzymskokatolickiego, gdyż członkowie kościoła polskokatolickiego występują w ilościach śladowych, sama miałam okazję poznać zaledwie kilka osób, a i to w czasach, gdy nie interesowały mnie jeszcze różnice pomiędzy religiami.

Co jest według osób deklarujących się, jako wierzące najsilniejszym dowodem wiary? Otóż — postępowanie zgodne z zasadami danej religii, wynikającymi wprost z boskich oczekiwań. I tu pojawia się problem. Mając do dyspozycji tak liczną (blisko 90% populacji Polski) grupę wyznaniową i analizując różne aspekty życia w naszym kraju, musiałabym przyjąć jedno z dwóch założeń. Pierwsze — że wiara jest czymś bardzo szkodliwym, ponieważ jej efektem jest łamanie norm społecznych, przemoc, rasizm itd. I taki punkt widzenia przyjmuje wielu, zwłaszcza „świeżo upieczonych” ateistów, powołując się jednak raczej na literaturę religijną, niż wyciągając wnioski z własnych obserwacji. Osoba postronna, nieobeznana z „literaturą przedmiotu” (bo właściwie dla kogoś miałyby studiować zagadnienie, które jej nie dotyczy), może przyjąć zupełnie inne wyjaśnienie - **skoro wiara jest czymś pozytywnym**, gdyż boskie wytyczne odwołują się do najlepszej strony ludzkiej natury (uczciwość, współczucie i wzajemny szacunek), **to polscy katolicy są w większości niewierzący**. Co za tym idzie — ich deklaracja wiary jest kłamstwem, a to oznacza, że jakiegokolwiek dalsze argumenty są bezwartościowe.

Przy takim postawieniu sprawy spotykałam się z zarzutem, że doszukuję się patologii, zamiast oceniać poszczególne osoby. Nie neguję, że znam paru przyzwoitych katolików, jednak skala różnego rodzaju wynaturzeń w obrębie KRK wywołuje podejrzenie, że to one stanowią normę. Ponadto, zważywszy feudalną strukturę tej instytucji, można przyjąć, że osoby stojące na szczycie hierarchii są wzorem do naśladowania dla pozostałych. Stąd indywidualne podejście do każdego z wyznawców jest bezcelowe — o ile sami nawet nie stosują takich „norm społecznych”, to większość przynajmniej je akceptuje. Ostatecznie nie żyjemy w epoce wojen religijnych i konwersja na inne wyznanie (też chrześcijańskie) nie stanowi już zagrożenia życia, ani nawet zdrowia.

Uważam, że gdy nie można znaleźć namacalnych i weryfikowalnych dowodów na istnienie jakiegoś zjawiska, należy po prostu je zignorować. Dlatego też odpuszczam sobie wszelkie dyskusje na temat wiary, skupiając się na tym, co sprawdzalne, czyli na **postawach**. Postawa oznacza sposób zachowania w określonej sytuacji społecznej i ujawnia koherencję lub jej brak z deklarowanymi przekonaniami. Zachowania w odróżnieniu od przekonań są obserwowalne i dlatego mogą być przedmiotem analiz.

Nasze postawy (demonstracja rzeczywistych, a nie tylko deklarowanych przekonań), kształtowane są w procesie socjalizacji. Większość jest pochodną wzorców zachowań, dominujących w środowisku pierwotnym. Co ciekawe tylko w nielicznych opracowaniach, jako środowisko pierwotne, obok rodziny i sąsiedztwa, wymienia się kościół / wspólnotę wyznaniową. Dziwne o tyle, że te instytucje uczestniczą zarówno w socjalizacji pierwotnej, jak i wtórnej, czyli ich siła oddziaływania jest o wiele silniejsza i utrzymuje się dłużej, niż w przypadku dwóch pierwszych, zwłaszcza w epoce powszechnych migracji. **Religia stanowi** przy tym najbardziej szczegółowy, bo regulujący wszystkie aspekty życia, **zestaw norm i procedur, obowiązujących wyznawców**. Z tego względu można ją uznać za pierwowzór ideologii totalnych, czyli narzędzie uprawiania polityki. **Kościół / wspólnota wyznaniowa jest** natomiast **systemem społecznym**, wyznaczającym ramy funkcjonowania jednostki, jej status (pozycję w grupie) oraz strukturę powiązań i zależności, stworzoną na bazie religii.

Z uwagi na wielość modeli społecznych w obrębie jednej religii, poszczególne **kościóły / wspólnoty wyznaniowe należy traktować**, jak **subkultury**, stosujące **odrębne kody kulturowe**, gdyż nawet posługiwanie się tym samym językiem nie gwarantuje takiego samego rozumienia — inny jest zasób treściowy oraz system komunikacji.

Właściwie nie spotkałam się nigdy z rzetelną analizą porównawczą poszczególnych religii / kościołów / wspólnot wyznaniowych, jako narzędzi kształtowania postaw. Przyjmowanie za punkt wyjścia „wiary” — elementu tyleż nieweryfikowalnego, co nawet niedefiniowalnego, jest istotnym błędem metodologicznym. Natomiast odniesienie do sacrum może budzić wątpliwości w przypadku polskich katolików, którzy zakres owego sacrum rozciągają w nieskończoność, kompletnie lekceważąc wewnętrzną niespójność pomiędzy podstawowymi podobno założeniami (dekalog), a całą armią świętych, błogosławionych, ich wizerunków oraz szczątków, naturalnych cieków

wodnych, zacieków na ścianach, a nawet żyjących osób, głównie kapłanów. Stąd słynny paragraf o obrazie bliżej niezdefiniowanych uczuć powinien być poszerzony o definicję przedmiotu kultu, aby osoby spoza tego kręgu kulturowego mogły uniknąć popełnienia czynu zabronionego. Inna rzecz, że taka definicja, a właściwie lista obiektów kultu byłaby zapewne grubsza od kk i wciąż aktualizowana. Ponadto mogłoby się okazać, że osobami najczęściej obrażającymi uczucia religijne katolików są ... katolicy.

Niechęć przed zagłębieniem się w niuansy relacji społecznych wynika pewnie w większości przypadków z własnej przynależności wyznaniowej, znacznie zawężającej perspektywę, i ulegania stereotypom w odniesieniu do innych grup. Uleganie stereotypom stanowi z kolei przejaw ignorancji, która niekiedy ociera się o śmieszność. I tak dla wielu sztandarowym przykładem różnic wyznaniowych w obrębie chrześcijaństwa jest „surowość wystroju” kościołów protestanckich.

Rzeczywiście kościoły katolickie oraz, w nawet większym stopniu prawosławne, mają bardzo bogaty wystrój. Wynika to z faktu, że **przesłanie katolicyzmu oraz prawosławia kierowane jest do analfabetów**. Stąd nadmiar przekazu wizualnego, a także jego dosłowność i wyrazistość, ocierająca się chwilami o kicz. Surowość kościołów protestanckich ma służyć skupieniu na przekazie słownym. Tym, co mnie najbardziej zaskoczyło w jednym ze starych kopenhaskich kościołów było ustawienie ławek — część przodem, a część tyłem do ołtarza, aby wierni mogli demonstrować negatywną oceną kazania, przesiadając się tyłem do pastora. Czyż w tej swoistej „recenzji” nie pobrzmiwały już echa przyszłej demokracji? Pastor jest osobą obdarzaną ogromnym szacunkiem, ale podlega kontroli społecznej i jest niejako na cenzurowanym pod względem tak życia prywatnego, jak i kompetencji, a te muszą być wysokie, bo wierni po lekturze PŚ, miewają często trudne i kłopotliwe pytania. Stąd zapewne teologia protestancka stoi na nieporównanie wyższym poziomie, niż katolicka, a interpretacje zapisów PŚ są dość sensowne, gdyż tworzone na gruncie historii i antropologii. Teologia katolicka natomiast nadal bazuje na objawieniach, czyli wspiera się autorytetem osób żyjących bądź dawno zmarłych, nie wnikając, na ile ten przekaz jest logiczny i przystaje do poziomu wykształcenia współczesnego społeczeństwa. Nie ma tu jednak większego ryzyka, gdyż katolicy na ogół nie zagłębiają się w niuansy swojej religii, ograniczając się do regularnego (w miarę) uczestnictwa w obrzędach.

Najwięcej o różnicach w obrębie chrześcijaństwa mówi sama liturgia, której zasadniczą i najdłuższą częścią w kościele protestanckim jest kazanie, w oparciu o wybrany fragment ST. W kościołach rzymskokatolickim i prawosławnym dominuje rytuał, powtarzany bezmyślnie, wręcz machinalnie. Kilka lat temu zaskoczyła mnie informacja, że polski episkopat zamierza wprowadzić „limit długości kazań”, bo wierni skarżą się na ich rozwlekłość. Z tego, co zauważyłam, kazanie katolickie to mało istotny wtręt, z reguły o niczym albo recenzja bieżącej polityki kraju. Rzadko który ksiądz posiada talent oratorski, stąd rzeczywiście — są nudne. Jednak ograniczanie długości kazań stoi w sprzeczności z tezą o **nauczaniu** kościoła, przecież cała reszta to głównie klepanie formułek, machinalnie wykonywane gesty oraz kawałeczek Ewangelii odczytanej przez kapłana lub jego pomocnika.

Obrzędowość w kościele rzymskokatolickim niejednokrotnie poddawana była krytyce z racji jej powierzchowności, automatyzmu zachowań, czy nawet kiczowatości, jednak bez zwrócenia uwagi na tak istotny aspekt, jakim jest **kodowanie podprogowe postawy poddaństwa / uniżoności wobec kapłana, który jest** nie tylko osobą centralną, ale wręcz **idolem** zgromadzonych. Tego typu zachowania są charakterystyczne jedynie dla kościołów katolickiego i prawosławnego. Nawet islam — również religia feudalna — kładzie nacisk na modlitwę kierowaną bezpośrednio do Allacha (twarzą do Mekki), a nie na pośrednictwo imama. W kościołach protestanckich wierni siedzą albo stoją, jeżeli zdarza się, że klęczą (w „starych” kościołach protestanckich), to klęczą również pastor.

Rytuał w kościele rzymskokatolickim, jak i duża część symboliki, wywodzi się wprost ze starożytnego Egiptu, w którym faraon był traktowany, jak żyjący bóg. Trudno wyzbyć się wrażenia, że takie „zapożyczenie” było celowe, skoro mimo kilkunastu wieków trwania państwa kościelnego, ani razu nie podjęto próby jego zmiany. Wszelkie „reformy”, dokonywane z reguły pod presją sytuacji zewnętrznej, dotyczą jedynie doktryny, która nawet dla wielu członków kościoła jest niezrozumiała, a dla osoby postronnej po prostu nieistotna.

Owa **uniżoność wobec osób stojących wyżej w hierarchii społecznej** nie jest bynajmniej tożsama z szacunkiem. Jest to raczej podrzędne samookreślenie się w danej strukturze i nie licuje z pojęciem godności osobistej. Ponadto drugą stroną tej postawy jest z reguły **pogarda dla osób o niższym statusie**, prawdopodobnie forma odreagowania poczucia deprivacji społecznej.

Uniżoność wobec klas wyższych również podszyta jest silną, aczkolwiek ostrożnie artykułowaną niechęcią, która w określonych warunkach może przekształcić się w otwartą wrogość.

Taki model relacji zdecydowanie utrudnia, jeśli wręcz nie uniemożliwia budowanie rzeczywistej „wspólnoty”, ponieważ istnieje zbyt silny konflikt interesów, aby wykształcił się wspólny system wartości. Stąd KRK może być określany jedynie, jako wspólnota wyznaniowa, natomiast trudno tu znaleźć cechy wspólnoty w sensie społecznym. Przekłada się to na jakość życia publicznego, przede wszystkim brak poczucia solidaryzmu grupowego i chęci współpracy. Te cechy, najbardziej charakterystyczne dla grupy dominującej w polskim społeczeństwie stwarzają wrażenie, jakby faktycznie były cechami narodowymi.

Specyficzny stosunek do kapłanów, zakodowany we wczesnym dzieciństwie utrzymuje się często do końca życia, bez względu na deklarowaną wiarę, czy regularność praktyk. Przekłada się on także na **stosunek do** tak zwanych **autorytetów**. Jeżeli ów autorytet nie wynika z osobistych zasług, lecz jest „odgórnie zadekretowany”, pojawia się pokusa do rozszerzania go na każdego, kto byłby aktualnie wygodny w tej roli. Stąd wysyp różnego rodzaju wzorów do naśladowania, a także „charyzmatycznych” polityków. Nie da się też ukryć, że wiele osób publicznych mniej lub bardziej świadomie naśladuje sposób bycia kapłanów, przydając sobie w ten sposób dostojeństwa. Zadęte, puste treściowo wystąpienie, wzmacnione przekazem niewerbalnym — wzorowaną na kaznodziejskiej modulacją głosu i wyrazem twarzy, mającym sprawiać wrażenie „uduchowionego”, nieodmiennie przywodzą na myśl wygłaszanie homilii. Ten sposób komunikacji ze społeczeństwem, naturalny w obrębie KRK, dla osób nienawykłych do takich form ekspresji może irytować, gdyż kojarzy się ze zwykłą bufonadą.

Niestety owa, wdrukowana w dzieciństwie i utrwalana w dorosłym życiu, zasada traktowania duchownych, jako niekwestionowanych autorytetów, jest narzucana ogółowi, jako coś oczywistego. Przyznam, że ja w osobie kapłana KRK widzę jedynie przeciętnego mężczyznę, przeważnie z nadwagą, ubranego w dziwną sukienkę, a niekiedy również w śmieszny czapczkę. Ponadto mam poczucie dysonansu poznawczego, gdy **przedstawiciel grupy zawodowej**, która wielokrotnie skompromitowała się swoim postępowaniem, tak obyczajowo, jak i w świetle prawa, występuje w roli autorytetu moralnego oraz eksperta w dziedzinie, o której nie ma pojęcia, chociażby z uwagi na niekierunkowe, a przy tym powierzchowne wykształcenie.

Nie ukrywam również, że bardzo obniża moje zaufanie do osób publicznych świadomość, że bezkrytycznie uznają kompetencje duchownych. Poza całą absurdalnością sytuacji, gdy w szczególnie uprzywilejowanej sytuacji znajdują się ludzie kompletnie bez właściwości i przeważnie bez jakichkolwiek zasług społecznych, poraża mnie nieskrywana niechęć i pogarda, jaką manifestują owi przewodnicy duchowi, wobec wszystkiego, co wymyka się ich władzy.

Relacje pomiędzy hierarchią oraz pozostałymi członkami kościoła opierają się na niepisanej umowie wzajemnego okłamywania, przy zachowaniu pozorów przestrzegania zasad. Prawie wszyscy, poza jednym wyjątkiem, znani mi katolicy stosują antykoncepcję. Również aborcja nie jest postrzegana jako coś złego ani nawet niewłaściwego. Rozpoczynanie współżycia seksualnego przed ślubem jest normą, a statystyki wskazują, że wzrasta liczba związków niesakramentalnych. Z drugiej strony mamy **pozorny szacunek do dziewictwa**, przejawiający się w kulcie Maryi Zawsze Dziewicy, rzekomej aseksualności duchowieństwa oraz instytucji dziewic konsekrowanych.

Stosunek do antykoncepcji i seksualne kontakty pozamałżeńskie są czasem podawane, jako przykład swoistego wyzwolenia katolików z dotychczasowego rygoryzmu obyczajowego - rzekomej nowoczesności w podejściu do życia. Czyż nie jest to jednak właśnie, tak silnie piętnowany przez hierarchię KRK (u innych!), relatywizm moralny? Katolicy nie czują się bynajmniej winni i nie spowiadają się z takich drobiazgów, o czym duchowni doskonale wiedzą. Z drugiej strony księża sami łamią głoszone przez siebie zasady — posiadanie stałych kochanek, a nawet dzieci jest właściwie normą. Uderza przy tym podejście parafian, którzy nie dopuszczają tych oczywistych faktów do świadomości, twierdząc, że księża są ofiarami nagonki, głównie medialnej. Oczywiście zdarzają się wyjątki, tak wśród samych księży, jak i pozostałych członków KRK, którzy piętnują takie zachowania. Przeważnie jednak to te właśnie osoby narażają się na krytykę i ostracyzm społeczny, a krytycznie wypowiadający się duchowni są po prostu „wyłączani” z dyskursu społecznego, przy zastosowaniu wewnętrznych procedur kościoła instytucjonalnego. Sprawia to wrażenie, że **łamanie zasad, a nawet prawa nie jest czymś nagannym**, naganne jest natomiast ujawnienie takich przypadków. Jest to „dulszczyzna” w klasycznej postaci prezentowana, niestety, przez znaczną część członków kościoła.

Nie ukrywam, że największym wyzwaniem jest dla mnie **stosunek katolików do przemocy**, w tym seksualnej, zwłaszcza wobec dzieci. Z jednej strony mamy bowiem wybuchy świętego oburzenia, gdy media donoszą o kolejnym przypadku pedofilii, czy skatowania dziecka, z drugiej natomiast nie słyszałam, aby rodzice, którzy zapisują dzieci na religię, domagali się weryfikacji katechety pod kątem predyspozycji do pracy z dziećmi, a większość osób akceptuje wymierzanie kar

cielesnych. Może więc w tym przypadku oficjalnie deklarowane przekonania są również jedynie elementem strategii wizerunkowej. W innym przypadku musiałyby być dowodem kompletnego braku wyobraźni.

Z tym ostatnim mamy na pewno do czynienia w przypadku poparcia dla kary śmierci. Mimo wielu pomyłek wymiaru sprawiedliwości oraz udokumentowanych przypadków skazywania na karę śmierci niewinnych osób w różnych krajach, najbardziej radykalne środowiska katolickie optują za rozwiązaniem, które stawia społeczeństwo demokratyczne w roli oprawcy. Najbardziej przerażający jest w tym jednak brak poczucia odpowiedzialności, nawet przy uświadomieniu tego faktu. Sprawia to wrażenie lekceważącego stosunku do życia, które mamy tylko jedno i nie przekonuje mnie jakoś argument o rzekomym — przyszłym zadośćuczynieniu.

Pozycja kobiet w KRK stanowi swoiste kuriozum. Z jednej strony, zgodnie z oficjalną doktryną (aczkolwiek nie artykułowaną dosłownie) kobieta jest zaledwie częścią inwentarza, mającą porównywalną wartość do zapłodnionej komórki jajowej. Na zewnątrz zaś jej pozycja prezentowana jest, jako szczególnie uprzywilejowana i samodzielna, gdyż często to kobiety wystawiane są na pierwszą linię walki. Po dokładniejszej analizie widać jednak dokładnie, że owa aktywność nie wykracza poza ramy określone przez doktrynę kościelną. Jeżeli kobieta ustawi się po drugiej stronie barykady lub choćby odważy się wypowiedzieć publicznie własne zdanie, spotyka się ze zmasowanym atakiem, dużo bardziej agresywnym, niż mężczyzna. Tak to również wygląda w życiu codziennym — jeżeli kobieta katolicka zabiera głos, to z reguły po to, aby przytaknąć mężczyźnie.

W związku z jawną dyskryminacją kobiet w KRK pojawia się pytanie, dość logiczne, czemu to kobiety stanowią większość wśród regularnie praktykujących. To można wyjaśnić na kilka sposobów. Po pierwsze kobiety zawsze ponosiły dużo wyższe koszty niesubordynacji. Wykształciło to przez wieki pewien odruch unikania problemów oraz skłonność do samoograniczenia, nawet w sytuacji, gdy możliwa jest pewna swoboda. Wciąż zapominamy, że wolność ekonomiczna, a zwłaszcza podmiotowość prawna stała się udziałem naszej płci niecałe sto lat temu. Wcześniej kobieta wyłamująca się z rygorów systemu, mogła z dużą dozą prawdopodobieństwa znaleźć się poza nim, bez środków do życia i bez szansy na jakąkolwiek pomoc. Inną przyczyną religijności może być rola jaka przypisywana jest kobiecie — ochrona rodziny (zwłaszcza dzieci) oraz wyręczanie mężczyzn w obowiązkach powszednich, do których można zaliczyć także uczestnictwo w nużących obrzędach. Spotykam się z takimi postawami, gdy panowie, na co dzień nie kwapiący się do kontaktów z hierarchią kościelną bądź nawet wyśmiewający (bezpiecznie — w zaciszu domowym) własną religię, w przypadku konieczności kontaktu z duchownym — pogrzeb, chrzciny, a nawet zwykła wizyta „po kolędzie”, zasłaniają się żonami, matkami, czy siostrami. Czyli ta odwaga prezentowania nowoczesnych poglądów ogranicza się do ścisłego grona rodziny, najbliższych znajomych, ewentualnie anonimowych komentarzy w internecie. Kolejną przyczyną, dla której kobiety zazwyczaj częściej uczęszczają do kościoła jest ... samotność. To ostatnie dotyczy z reguły pań w starszym wieku, które odchowwały dzieci, a czasem pochowały mężów. Wyjście do kościoła stanowi jedno z niewielu wydarzeń przełamujących codzienną rutynę i dających możliwość kontaktu z ludźmi.

Kobiety katolickie w polityce stanowią odrębny temat, aczkolwiek podstawową rzeczą jest znów pewien typ postawy ukształtowany przez pokolenia. Nie dopuszczane do przestrzeni publicznej, mogły realizować się społecznie (politycznie) tylko w jednym z dwóch wariantów — wpływając na mężczyzn ze swojego otoczenia lub oddając się działalności w obrębie kościoła. To drugie wymagało jednak większej ostentacji w manifestowaniu pobożności, aby uniknąć podejrzeń o posiadanie jakichkolwiek ambicji, które kobietom jakoby nie są przyrodzone. Stąd taki wysyp intelektualistek — zakonnic oraz działaczek organizacji charytatywnych związanych z kościołem. Współcześnie ten model zachowań charakteryzuje członkinie RRM oraz polityczki partii prawicowych, niejednokrotnie bardziej zapalczywe od mężczyzn w obronie norm prawnych i obyczajowych, sprzecznych z ich własnym interesem. Można to nazywać syndromem sztokholmskim, jednak trudno nie zauważyć, że takie zachowania zapewniają określone profity, w tym prestiż w ich własnym środowisku oraz promocję wizerunkową.

Coś, co jest charakterystyczne dla kobiet katolickich, lecz jakoś umyka w badaniach to **wysoki poziom wzajemnej agresji**. Ta agresja ujawnia się w nieuczciwej rywalizacji zawodowej, obmowie, przemocy psychicznej (czasem też wobec partnerów). Przypomina to anegdotę o szympanmach, które same uniemożliwiają nowym towarzyszom wydostanie się z niewoli i, niestety, wcale nie dziwi. Z tym samym mamy do czynienia w każdym środowisku, gdzie możliwości awansu społecznego są ograniczone. Wówczas jednostka wybijająca się ponad przeciętność jest ściągana do poziomu ogółu. Tak właśnie wygląda druga — równie nieciekawa — strona medalu zwanego dyskryminacją. Stąd swoista hierarchizacja wśród kobiet, na zewnątrz niewidoczna, ale

odczuwana zawsze w środowisku mocno sfeminizowanym — i tu nie mam na myśli zwolenniczek równouprawnienia, lecz wyłącznie środowiska religijne.

Uzyskiwanie wpływu społecznego poprzez wpływ na mężczyzn z najbliższego otoczenia skutkuje z kolei zjawiskiem, typowym dla środowisk patriarchalnych — niedojrzałością mężczyzn, uzależnionych od matek. Gdy przyjrzeć się większości społeczeństw katolickich, czy prawosławnych w Europie (Włochy, Hiszpania, Polska, Rosja), to wiele osób dopatry się w nich wręcz ... matriarchatu. Czyli mamy równocześnie, mniej lub bardziej, oficjalną dyskryminację kobiet przy jednoczesnym zaniku samodzielności mężczyzn. Jest to kolejny paradoks społeczny i sygnał, że nadmierne zaburzenia równowagi generują odreagowanie w formie nierównowagi w innym obszarze.

Stosunek katolików do osób spoza kościoła stanowi mieszaną ignorancji oraz bazującego na niej strachu. Czasem odnoszę wrażenie, że katolicy świadomi są własnych ułomności w kwestii rygorystyki obyczajowej, zwłaszcza w stosunku do członków kościołów nowej tradycji protestanckiej. Tym większa pojawia się chęć ich deprecjonowania i pomawiania o rzeczy, które przypisać można raczej stosunkom w KRK. Dzieje się tak w przypadku chociażby oskarżeń o interesowność, na przykład wyłudzenie pieniędzy od starszych osób (sic!).

W odniesieniu do ateistów sytuacja jest nieco inna, bowiem samo istnienie osób, które odrzucają fakt istnienia jakiegoś boga, wytrąca z ręki usprawiedliwienie o konieczności przywoływania takiego bytu. Stąd właśnie wobec nas wysuwane są kłamliwe i bezcelne oskarżenia o relatywizm moralny, tworzenie jakowejś (bliżej niezdefiniowanej) ideologii, czy sympatie dla skompromitowanych ideologii faszyzmu i komunizmu. Jest to o tyle absurdalne, że ideologie te wyrosły na gruncie autorytarnego wychowania — do ślepego posłuszeństwa oraz kultu jednostki, który nieodparcie przywodzi na myśl kult religijny. Gdyby prześledzić mapę Europy, zdumiewa wręcz prawidłowość, z jaką pokrywają się najżywsze sympatie, odpowiednio do faszyzmu — w krajach z przewagą katolicyzmu oraz do komunizmu — w krajach, gdzie dominuje prawosławie.

Fakt, że zaskakuje tu pewna prawidłowość, wymagająca dokładniejszego zbadania — ta, że następczyni owych pierwotnych ideologii (religii) stanowią zaprzeczenie ich oficjalnych doktryn. I tak **katolicyzm** — **ponadnarodowa wspólnota etyczna** stał się podłożem **narodowego socjalizmu**, a **komunizm głoszący hasła internacjonalizmu**, nadal cieszy się największą sympatią w krajach z przewagą **prawosławia** — **wyznania w pewnym sensie narodowego**, bo podległego władzy świeckiej. Niezależnie jednak od owego paradoksu każda z tych ideologii ma na celu stworzenie grupy jednolicie myślącej i działającej na bazie wspólnego etosu.

System wartości, jakim posługują się katolicy jest w pierwszej chwili trudny do odszyfrowania. Jeżeli uznamy, że jest to rzeczywiście dekalog, to pojawia się poczucie silnego dysonansu poznawczego, po chociażby pobieżnej lekturze (łamanie zakazu idolatrii, korupcja, akceptacja dla kary śmierci itd.). Jednak głębsza analiza, a właściwie obserwacja uświadamia, że na szczycie owego systemu wartości są te najłatwiej mierzalne — materialne. Zdumiewająca jest interesowność wzajemnych relacji, sprowadzanie ich wręcz do transakcji handlowych, widoczne zwłaszcza w stosunkach hierarchia — pozostali członkowie kościoła. Jakkolwiek by tego nie przedstawiano, pozycja społeczna w tej grupie jest zdecydowanie zależna od statusu majątkowego (bez względu na źródło dochodu), dlatego nie bardzo mnie już dziwią wysokie „ofiary” ze strony osób niezbyt majątnych lub rzadko praktykujących. Nie ma to oczywiście również nic wspólnego z wiarą, gdyż istota nadprzyrodzona z łatwością obyłaby się bez owego wdowego grosza, czy kolejnej działki na cele sakralne — wszak jest twórcą i panem wszechświata. Jest to raczej chęć pokazania się współwyznawcom, a w szczególności duchownym, ze strony których wyrazy uznania są najwyższą formą nobilitacji. Ta sama ostentacja dotyczy zresztą pomników na cmentarzach, czy zwykłych dóbr doczesnych — ot, współczesna forma rywalizacji o miejsce bliżej ołtarza.

Dlatego obawiam się, że wątle są szanse na przeforsowanie postulatu o utrzymywaniu się KRK ze składek jego członków. Przecież podatki wpływałyby **anonimowo**, a przy tym zmniejszyłyby kwotę dostępną do własnej dyspozycji w celu przekazania jej **imiennie** na tacę, w kopercie, czy w formie przekazu. Jest oczywiste, że **kwotę** (powiązaną z nazwiskiem) **ma zauważyć ksiądz**, a nie urzędnik skarbowy, o bogu już nie wspominając. W innym przypadku jedynymi godnymi uwagi duchowieństwa zostaną urzędnicy samorządowi z możliwością przekazywania na rzecz kościoła własności publicznej. Z tego względu kwestia opodatkowania wiernych na rzecz kościoła stanowi jedną z najbardziej drażliwych. Na logikę właśnie postulat utrzymywania własnego duchowieństwa i obiektów kultu mógłby **uwiarygodnić wiarę** katolików — dlatego powinien on wypływać właśnie z tego środowiska, a nie ze strony antyklerykalnej partii. Tymczasem zamiast zgłoszenia / entuzjastycznego poparcia tego pomysłu, widzimy agresję lub otrzymujemy „błyskotliwy” argument o niesprecyzowanej bliżej sprawiedliwości dziejowej.

Konformizm społeczny wskazywany jest często, jako przyczyna trwania we wspólnocie wyznaniowej, bez względu na przekonania. Faktem jest, że trudno uwolnić się z relacji społecznych, gdyż z wieloma osobami łączą nas więzy emocjonalne. Ponadto każdy człowiek, również współczesny „nomada”, ma potrzebę zakorzenienia i poczucia przynależności, a bycie członkiem grupy wyznaniowej niewątpliwie takie poczucie zapewnia. Właściwie konformizm jest zjawiskiem korzystnym, bo cementuje więzi w grupie. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że w przypadku polskich katolików o wiele większe znaczenie ma **strach przed ostracyzmem społecznym**. Zauważyłam, że protestanci, zarówno wątpiący (zagubieni), jak i otwarcie deklarujący niewiarę nie są odrzucani przez wspólnotę. Wynikałoby z tego, że największy w Polsce kościół, najczęściej stosuje mechanizm wykluczenia. Jest to dość logiczne, zważywszy że poza tym kościołem pozostaje już bardzo niewielka przestrzeń, co wywołuje poczucie marginalizacji.

Wyparcie własnego strachu przed porzuceniem wspólnoty wyznaniowej skutkuje szukaniem wymówek, służących usprawiedliwieniu takiej postawy. Nieocenione znaczenie ma tu „wsparcie marketingowe” ze strony hierarchii kościelnej — odnosi ona zresztą określone korzyści polityczne z podtrzymywania wrażenia szczególnej „roli przewodnictwa duchowego i moralnego”. Stąd właśnie utwierdzanie własnych członków oraz otoczenia kościoła, co do rzekomej głębi przeżyć wynikających z wiary. Dlatego tym, co najbardziej oburza (przeraża?) katolików jest możliwość desakralizacji ich kościoła — odarcie go z przymiotów, którymi bezzasadnie się chlubią, mniej lub bardziej świadomie wyczuwając, że nie znajduje to potwierdzenia w rzeczywistości. Największą bodaj agresję rodzi przypominanie, że **KRK jest organizacją polityczną** (z ośrodkiem zarządzania umiejscowionym za granicą) i że zachowania niektórych duchownych należy uznać za patologię.

Nie mając argumentów w dyskusji katolicy starają się (niestety skutecznie) przenieść jej ciężar na kwestie obce osobom postronnym. Są to głównie zagadnienia teologiczne oraz tzw. moralne, przy czym jest to swoista moralność, odwołująca się np. do dogmatu życia poczętego / mordowania nienarodzonych (czyli de facto istnienia Ducha Świętego, w którego osoba postronna nie ma obowiązku wierzyć), relatywizmu moralnego itp., czyli narzucają temat dyskusji oraz własny kod kulturowy. Jest to pułapka, w którą bardzo łatwo wpaść, gdy człowiek zapomni, że nie ma obowiązku znać niczyich „świętych” ksiąg, ani wykładni teologicznych, nie ma obowiązku orientować się w nomenklaturze wewnętrznej tej organizacji ani w hierarchii stanowisk kościoła instytucjonalnego, nie ma obowiązku stosować na terenie naszego kraju innego języka poza polskim i to w rozumieniu ściśle słownikowym. A przede wszystkim **nikt nie ma obowiązku wierzyć w deklarację czyjejs wiary**, nawet gdy ten przekaz jest wzmocniony jarmarczną pantomimą — przewracaniem oczami, westchnieniami, czy przesadzoną gestykulacją. Jeżeli komuś się wydaje, że wierzy, jest to jego prywatną sprawą, równie ciekawą i istotną dla postronnych, co upodobanie do jakiegoś stylu muzyki.

Tak więc, jako osoba „głęboko niewierząca”, uważam, że wiara to słowo wytrych, którym członkowie KRK posługują się, jak alibi dla swojej nieuzasadnionej lojalności wobec organizacji, postrzegającej ich w gruncie rzeczy głównie, jako statystykę (czyli jedno z podstawowych narzędzi władzy w demokracji). Oświadczenie takie jest również swego rodzaju wymówką przed zbytnim zagłębianiem się w kwestie drażliwe społeczne — ostatecznie bóg wynagrodzi cierpienie po śmierci. Stąd dość **niski poziom empatii**, zwłaszcza jak na osoby deklarujące głęboką wrażliwość. Oczywiście zdarzają się wyjątki — osoby wręcz ponadprzeciętnie zaangażowane w działalność społeczną, jednak odnoszę wrażenie, że dzieje się tak raczej pomimo wychowania w środowisku religijnym, niż dzięki niemu. Dodatkowo drażniącą jest pewna **ostentacja w prezentowaniu własnych zasług**, jeśli chodzi o pomoc bliźnim. Przeczy to jawnie w istnienie wiary w boga wszechwiedzącego i życie pozagrobowe, sprawiając raczej wrażenie chęci podniesienia własnego prestiżu w życiu doczesnym. To samo dotyczy cierpienia bądź świadomości rychłej śmierci samego zainteresowanego lub bliskich mu osób. W zasadzie stoickie podejście do zagadnień choroby i śmierci prezentują osoby, które spędziły większość życia na wsi, pracując w rolnictwie. Prawdopodobnie jest to skutek bezpośredniego, długotrwałego kontaktu z naturą i funkcjonowania nadal w dużej mierze w czasie cyklicznym, w którym narodziny i przemijanie są czymś naturalnym. Ponieważ jednak mieszkańcy tradycyjnych wsi powszechnie uważani są za bardziej religijnych, więc automatycznie traktuje się takie podejście, jako efekt wiary.

Kolejnym, często (nad) używanym przez katolików słowem jest **tradycja**. To z kolei wymówka dla osób otwarcie deklarujących niewiarę / agnostycyzm, jednak praktykujących regularnie bądź przynajmniej okazjonalnie. W zakres owej tradycji wchodzi zazwyczaj składniki wybitnie infantylne, jak: baranki, zajączki, pisanki, choinka, szopka itp., inne — bardziej praktyczne, jak potrawy świąteczne oraz rytuały przejścia. Katolicy nie przyjmują do wiadomości, że większość owej tradycji

jest pogańska i powiązana ściśle z terminami rozpoczęcia bądź zakończenia prac polowych / pór roku. Przeniesienie takiego obrzędu w środowisko wielkomiejskie sprawia, że przekształca się on w swoją własną karykaturę. Potraktowanie go natomiast, jako zabawy, czyli przywrócenie pierwotnego sensu tym obrzędom, jest możliwe bez żadnego kontekstu religijnego. Porażająca jest natomiast dezynwoltura intelektualna, z jaką łączy się bigos z narodzinami Syna Bożego, a malowanie jajek na twardo z jego męczeńską śmiercią (bynajmniej nie wskutek niestrawności).

Negując istnienie wiary, jako czegoś faktycznie istniejącego oraz istotnego społecznie, dokonujemy znaczącego przewartościowania, gdyż reszta może być opisana, jako logiczna konsekwencja wychowania oraz wtórnej socjalizacji. Dlatego jestem sceptyczna co do postępującej laicyzacji naszego społeczeństwa, rozumianej li tylko jako odrzucenie wiary. Postawy utrwalane przez pokolenia, utrzymują się również przez pokolenia. I to jest jedyny bodaj punkt, w którym jestem zgodna ze stanowiskiem hierarchii KRK — apostaci są (w większości) nadal katolikami. Zachowując postawę katolika i deklarując utratę wiary, jest się jedynie rewersem postawy niewierzącego, ale praktykującego katolika — po prostu druga strona tego samego medalu.

Trudno ocenić, jaki procent członków kościoła po oficjalnym z niego odejściu, jest w stanie funkcjonować w inny sposób (wyłączając praktyki), wydaje się jednak, że najskuteczniejsze jest jak najwcześniejsze odsunięcie się od tego środowiska — w Polsce raczej niemożliwe. Niestety, pewne zachowania są powielane także przez osoby postronne — grupa dominująca liczebnie, postrzegana jest jako punkt odniesienia, a promowane w niej postawy, jako norma społeczna. Z tego właśnie względu większość polskich katolików ma niewielkie szanse na wyzbycie się katolickich nawyków. I tu przychodzą mi na myśl — często krytykowane — słowa z Ewangelii o konieczności porzucenia bliskich, gdy chce się przyjąć nową religię (nowy styl życia). W mojej ocenie jest to natomiast jeden z najsensowniejszych fragmentów PŚ, gdyż dowodzi znajomości ludzkiej psychiki oraz zasad kształtowania postaw w relacjach społecznych.

Wątpię w to, że sama niewiara nie jest remedium na zmianę społeczną, polecam dwa przykłady - zlaicyzowane w dużym stopniu społeczeństwo Hiszpanii oraz, laicyzujące się podobno szybko, społeczeństwo Irlandii. Widać, że na pierwszy plan wysuwa się silny antyklerykalizm, przy zachowaniu tej samej struktury. Znamienne, że w Irlandii utrzymuje się nadal akceptacja dla restrykcji mających źródło w religii, jak chociażby zakaz aborcji. Nie wiemy, ile kobiet w Irlandii zmarło pod rządami tej ustawy — dyskusję wywołała dopiero śmierć obywatelki innego kraju (z uwagi na konsekwencje dyplomatyczne?). Równocześnie nasilają się roszczenia pieniężne wobec kościoła, co sprawia wrażenie, że nadal dominuje model pozyskiwania korzyści materialnych, nastąpiła jedynie zamiana ról.

Obecnie coraz więcej młodych Polaków odrzuca wiarę oraz praktyki religijne, tylko nie jestem pewna, o czym tak naprawdę to świadczy. Czy jest to faktyczne zanegowanie określonego systemu, czy może jedynie przejaw konformizmu grupowego, najsilniejszego w przedziale wiekowym 15-25? Zdarzały się już takie bunty pokoleniowe, kończące się zazwyczaj z chwilą założenia własnej rodziny, a w konsekwencji powrotem do stylu życia rodziców. A może część z tych młodych ludzi wiąże się z innym — hierarchicznym, autorytarnym i nietolerancyjnym środowiskiem, mającym tylko tę zaletę, że nie jest to KRK. Takie sytuacje też już miały miejsce. Trudno jednak spekulować, gdy żyjemy w okresie zmiany społecznej i nie wiadomo, jakie alternatywy życia zbiorowego jeszcze się pojawią. Jednak nigdy nie należy lekceważyć siły emocji, na bazie których (a nie kantowskiego „czystego rozumu”) tworzą się relacje społeczne.

Dlatego mam jednak nadzieję, że młodzi Polacy, emigrując za chlebem do państw o wyższym poziomie rozwoju społecznego nie tyle „utrącą wiarę”, co zmienią swoje postawy. Oderwanie od polskich realiów społecznych daje możliwość swoistej resocjalizacji. I to jest być może największy kapitał, jaki nasze społeczeństwo może pozyskać w dobie kryzysu.

[Anna Salman](#)

Publicystka

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 06-07-2013)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9085) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9085>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.
Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl